

8

PRELEGENT

FRASZKA

w 1-ym akcie

PRZEZ

Józefa Kościelskiego

Cena kop. 25

BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY

8.

PRELEGENT

FRASZKA W JEDNYM AKCIE

PRZEZ

J. KOŚCIELSKIEGO

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Февраля 1903 года.

OSOBY:

PAN ONUFRY.
ANDZIA.
JAN MURECKI.
SŁUŻĄCY.

Rzecz dzieje się w małym dworku na przedmieściu Warszawy za naszych czasów.

Druk. i Litogr. JANA COTTY, Kapucyńska 7.

(Scena przedstawia pokój zwyczajnie umeblowany. W głębi drzwi główne, z lewej strony drugie, prowadzące do dalszych pokoi. Z przodu sceny po lewej stół, kanapa i fotele, po prawej duży fotel z poręczami, przy nim stolik, zasłany gazetami).

SCENA PIERWSZA.

ONUFRY (*chodzi po pokoju z oznakami najwyższego niepokoju; podchodzi do okna, patrzy na zegarek, nasłuchuje, nareszcie schodzi na przód sceny).*

Dobrze mi tak, dobrze mi tak! Chciało mi się wiejskich przyjemności, mam wiejskie przyjemności! Myślę sobie: na wsi powietrze czyste, świeże, to zaostrza apetyt, przyśpiesza trawienie... no, nie dziw, że dla tak ważnych powodów kupiłem ten dworek na przedmieściu. Rzeczywiście, w mieście więcej nad pięć razy dziennie jeść nie mogłem, a choć jadłem, to tak, bez przekonania. Tutaj, prawda, apetyt jest, niema co mówić, jest (*płaczliwie*) ale za to, jeść nie ma co! Cicho! słychać turkot (*nasłuchuje*). Nie! A to męki pie-

kielne. Zobaczycie państwo, że on nie przyjedzie! Już to takie moje niesz... Ha, idzie ktoś!...

SCENA DRUGA.

ONUFRY. SŁUŻĄCY.

ONUFRY.

Jest?

SŁUŻĄCY.

Jest.

ONUFRY.

Gdzie! prędzej!

SŁUŻĄCY.

Tu jest dzisiejszy.

ONUFRY.

Kto? co?

SŁUŻĄCY.

Kuryer jest dzisiejszy, bardzo...

ONUFRY.

Bodaj cię dyabli wzięli! a kucharz!

SŁUŻĄCY.

Kucharza niema!

ONUFRY (*pada na fotel*).

Jestem zgubiony!

SŁUŻĄCY.

Panienka mówiła, co to nic nie szkodzi, i co się cieszy, co sama dziś obiad ugotuje.

ONUFRY.

Głupiś. Ja tam właśnie będę jadł co panienka ugotuje. Głupiś, rozumiesz!

SŁUŻĄCY.

Rozumiem.

ONUFRY.

A więc wynoś się!

(*Służący wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

ONUFRY (*sam*).

Ach, jak to ciężko żyć na świecie (*patrzy na zegarek*). Z tem wszystkiem czas leci, a jegc niema. Będę rachował do stu, to podobno dobry sposób (*składa ręce na brzuchu i przymruża oczy*). Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm (*ziewa*) ooośm, dziewięć. Tfu do wszystkich dyabłów, to nie pomaga. Ha, weźmy się do gazet (*bierze gazetę*). Hm! — to niby nic, kawałek papieru... a co to ma za władzę nad człowiekiem! Ledwo na to

okiem rzucisz, przeczytasz pół kolumny, już ci się jakoś dziwnie robi, głowa się zwiesza, powieki opadają i już chrapiesz. Tak, gazety mają wielką potęgę, ale po obiedzie, nie na czczo! Co to?—Kuryer Warszawski (*uderza pięścią w gazetę*). A łotrze, a łajdaku! tyś przyczyną całego mojego nieszczęścia! Z Kuryera kupiłem ten dworek — pustkowie! — z Kuryera dowiedziałem się o tym kucharzu. To już takie moje niesz... Bo proszę!... Czytam w Kuryerze: „kucharz całą gębą“ — całą gębą, to aż ślina idzie, „który u wysokich państwa kondycyonował“ kondycyonował! Zwyczajny parzygnat byłby napisał, służył, — „szuka odpowiedniego zajęcia pod literami B. B. i liczbą 366 w ekspedycyi Kuryera Warszawskiego“. To mi się zaraz spodobało. Te litery B. B. i ta liczba 366, to okazuje znajomość rzeczy i rozwagę, bo B. B. to naturalnie: bardzo! bardzo! — a 366, to dowodzi, że na każdy dzień ma nowy obiad — i że myśli nawet o roku przestępnym! Zakasował panią Ćwierczakiewiczowę, która wymyśliła tylko 365 wybornych obiadów! Walę więc do Kuryera B. B. i oto co dostaję wczoraj pocztą! (*czyta list*). „Jaśnie Wielmożny Panie Dobrodzieju! Będący zaszczycony pisaniem godnem zaufaniu odpowiedzieć pożądający, podług żądania w dniu jutrzejszym obiad na próbę, choć u mnie próba nie potrzebna, ale dobrze, jako Jaśnie Pana uniżony sługa i podnóżek, oraz proszę, czy zakupna będą na mojej głowie, bo ja tego zwyczajny po wielkich domach i skórki zajęcze tysz! Jan Wydmuchalski kuchmistrz francuski. A do ciastów to ja pierwszy.“ Hm! myślę sobie, to jakiś wielki artysta, i przyznam się, trochę mi wstyd było, co on powie na starą Marysię, kucharkę —

i ja głupi, stary błazen, wypędziłem starą Marysię za przydymioną zupę, co wcale nie była przydymiona, a teraz czekam jak osioł (*ze złością*). Tak, czekam, czekam i doczekać się nie mogę i przyjdzie mi na tem pustkowiu skończyć na tyfus głodowy! To już takie moje niesz. Ha, trudna rada, cierpliwości (*ze złością*) cierpliwości! przecie pisał, że przyjedzie, to i przyjedzie. Po wielkich domach późno jadają. Zabierzmy się do Kuryera (*przegląda Kuryera*). „Horyzont polityczny“ — furda! — „Kanalizacya miasta“ i tak dosyć kanalii w mieście! Kawalerska jazda. Znany finansista p. X... Odczyty w sali ratuszowej. A! profesor doktór Murecki, proszę, proszę, to syn Jasia nieboszczyka... na co się to chłopiec wykierował! profesor, doktór... a ojciec był taki porządny człowiek! O czem że on to będzie prawił na tym odczycie (*czyta*). „O wpływie cywilizacyjnym pożywienia u narodów szczepu Kaukaskiego na ustrój państwowy i społeczny.“ Pożywienia, hm! to wielka myśl. Ależ to dzielny chłopak! No, nic dziwnego, syn Jasia! Ojciec zjadał tłustego kapłona (*robi dwoma palcami znak od ust*) tak! — a o gęsi mawiał, że głupi ptak, bo za duży na jednego, a za mały na dwóch. Byłby żył po dziś dzień, gdyby nie to prosię faszerowane kaszą... ejże nie kaszą, bodaj makaronem... czy też kaszą... dalipan zapomniałem... zawsze to owo nieszczęsne prosię. Panie świeć nad jego duszą (*zamyśla się*).

SCENA CZWARTA.

ONUFRY. ANDZIA.

ANDZIA *(wbiegając).*

Przyjechał, przyjechał!

ONUFRY *(zrywa się).*

Bóg jest wielki, nareszcie!

ANDZIA *(śpieszno).*

Papo, ja tak nie mogę, w fartuszku od rądli... powiedz że to ty, ja zaraz wrócę, błagam cię, powiedz że to ty! *(wybiega).*

ONUFRY.

Że to ja! Naturalnie, że ja. Co jej się stało? Ale śpieszmy... *(zwraca się ku wyjściu).*

SCENA PIĄTA.

ONUFRY. JAN.

JAN.

Miło mi stawić się na rozkazy pana dobrodzieja!

ONUFRY *(na stronie).*

Fiu! — ależ wygląda dystyngowanie, do stu katów.

JAN.

Nie mogłem niestety prędzej, bo nawał zatrudnień...

ONUFRY.

Tak, a ja tu czekam, czekam — *(na stronie).* Nie wiem, czy mu mówić ty!

JAN.

Wzrusza mię głęboko pamięć pana dobrodzieja, i zaręczam...

ONUFRY.

Wszystko to pięknie, ale kiedyż do roboty?

JAN.

Jutro panie dobrodzieju, jutro już.

ONUFRY *(przerażony).*

Jakto jutro? przecież wyraźnie...

JAN.

A tak, wyraźnie na jutro zapowiedziane...

ONUFRY.

Ależ przepraszam, na dziś, najwyraźniej.

JAN *(śmieje się).*

No, już daruj pan, ale o tem chyba ja muszę lepiej wiedzieć. Jutro pierwszy...

ONUFRY.

Ale dziś na próbę!

JAN.

O, to nie jak w teatrze, próby nie potrzeba...

ONUFRY.

Nie potrzeba, ale kiedy mi chodzi o to, ja wyma...

JAN.

Serdecznie panu dziękuję za troskliwość — ale niech pan o mnie będzie zupełnie spokojny. Nie pierwszy to mój odczyt w życiu.

ONUFRY.

Odczyt?

JAN.

A tak, ja sądziłem, że pan dobrodziej mówi o moim jutrzejszym odczycie.

ONUFRY.

Odczycie?... nie wiedziałem... Ale to dobra myśl... Tyle teraz grasuje odczytów o rzeczach niepotrzebnych... a tu chodzi o to, aby, kto zna swój fach, kształcił młodszych, bo to panie teraz już coraz gorzej jeść na świecie.

JAN.

Jeść? (*n. s.*). Zawsze ten sam.

ONUFRY (*n. s.*).

Odczyty!... nie mogę mówić mu ty! (*głośno*). Ale zanim zaczniesz pan...

JAN (*przerywa*).

Ach, panie dobrodzieju, proszę jako o łaskę, nie nazywaj mnie panem, mów po staremu, Jasiu!

ONUFRY.

Jasiu! — dobrze (*siada, n. s.*). No, skromny, to lubię (*głośno*). A więc, Jasiu, zanim zaczniesz uczyć innych, naprzód pokażesz mi, co sam umiesz.

JAN.

Jestem na twe usługi, kochany panie Onufry.

ONUFRY (*n. s.*).

Kochany panie Onufry? No, zresztą taki kucharz to artysta, a z artystami, to panowie za pan brat (*głośno*). A więc nie traćmy czasu i chodźmy zaraz do kuchni.

JAN (*śmiejąc się*).

A, chcesz mi pan pokazać... służę...

ONUFRY (*idąc ku wyjściu, zwraca się*).

Ale, ale, toż trzeba się naprzód porozumieć w najważniejszej kwestyi. Co mi dasz jeść?

JAN (*zdziwiony*).

Jakto, co ja dam jeść?

ONUFRY.

No, jużci! Co mi ugotujesz na próbę?

JAN.

Ja mam gotować na próbę? (*śmieje się*). Niestety, panie dobrodzieju, pod tym względem nie wdałem się w ojca.

ONUFRY (*niecierpliwie*).

Jakto w ojca! w jakiego ojca? co mi po ojcu! toż pisałeś, że zrobisz obiad na próbę!

JAN.

Przepraszam — to widocznie pomyłka... a ja sądziłem... Jestem profesor, doktór...

ONUFRY.

Profesor! doktór! — a nie kucharz?

JAN.

Kucharz?

ONUFRY (*w pasyi*).

Więc czego wasan tu chcesz! A rany boskie...

JAN.

Pan dobrodziej pozwoli, jestem profesor, doktór Jan Mu....

ONUFRY.

A toć już wiem na moje nieszczęście! (*chodzi gestykulując*). Profesor! — ja niepotrzebuję nauki! doktór — ja nie chory, tylko głodny! A to już takie moje niesz...(*podchodzi na przód sceny*). I każe mi się bałwan nazywać Jasiem! Profesor, doktór!...

JAN.

W istocie, nie rozumiem.

ONUFRY.

A czy pan sądzisz, że ja rozumiem, nic nie rozumiem — i proszę...

SCENA SZÓSTA.

CIŻ. SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY.

Kucharz przyjechał.

ONUFRY.

Ha! Lecę... (*wstrzymuje się*). A może to znów jaki profesor!

SŁUŻĄCY.

A tak, musi być z profesyi kucharz, bo taki pijany, co się nie może na nogach utrzymać.

ONUFRY.

Pijany!... a mój obiad?... na próbę... pijany?

SŁUŻĄCY.

E, nie na próbę, mnie się widzi, co on dokumentnie pijany.

ONUFRY (*idzie*).

Biegnę... (*służący za nim*).

SCENA SIÓDMA.

JAN (*sam*).

Co to jest, co to znaczy? Czy zmysły stracił! Czy to mistyfikacya? (*szuka po kieszeni*). Zdaje się, że mam przy sobie... jest! Otóż i jego list. (*czyta*): Profesor Murecki raczy sobie przypomnieć starego ojcowskiego przyjaciela i uradować go swemi odwiedzinami. (podpisano: Onufry). Wyznaję, że wzruszyła mnie ta pamięć, bo pan Onufry, zawsze oddany praktycznym studyom nad gastronomią, nie wydawał mi się nigdy arką przymierza klejnotów przyjaźni. Przybiegam więc natychmiast i oto jak mnie przyjmuje. Kucharz!... widocznie ktoś urządził mistyfikacyę, przyznam się, bardzo niewłaściwą, wypada mi więc teraz dojść, skąd wyszła i natrzeć mocno uszu niewczesnemu trefnisiowi (*chce wyjść i spostrzega Andzię, która dyga zaambarasowana*).

SCENA ÓSMA.

JAN. ANDZIA.

JAN (*z ukłonem*).

Pani!

ANDZIA (*dyga*).

Pan profesor mię nie poznaje?

JAN.

Andzia! przepraszam, panna Anna!

ANDZIA (*ośmielona*).

A, jak to ładnie, że mię pan poznał.

JAN (*n. s.*).

Śliczna dziewczynka! (*głośno*). A zadanie niełatwe w dzisiejszej pannie Annie, poznać malutką Andzię...

ANDZIA (*wesoło*).

Którą pan tyle razy... O, dzisiajby mię pan już na rękach nie nosił!

JAN.

Ależ tem chętniej... to jest, chciałem powiedzieć (*na stronie*). Co się to z dzieci robi.

ANDZIA.

Panie profesorze, ja właściwie... jabym chciała... coś panu powiedzieć... ale...

JAN.

Słucham pani.

ANDZIA.

Ale pan mi musi przyrzec, że się na mnie gniewać nie będzie.

JAN.

Ja na panią — cóż za myśl!

ANDZIA.

Ach, ja się bardzo boję. Bo to widzi pan, ja miałam do pana bardzo ważny interes... więc nie wiedząc w jaki sposób... myślałam... (*nagle*). Pan odebrałeś dzisiaj list od mego ojca?

JAN.

Odebrałem, to jest, pokazuje się, że ojciec pani nie pisał.

ANDZIA (*trwożliwie*).

Panie profesorze... to ja ten list pisałam!

JAN (*zdziwiony*).

Pani?

ANDZIA.

A widzisz pan, już się pan gniewasz!

JAN.

Ja gniewać się?... przeciwnie... gdybym był mógł przypuścić...

ANDZIA.

Ja też tak sądziłam, że gdybym była napisała od siebie, to pan byłby pewnie nie przyszedł, — ale od ojca...

JAN.

Przeciwnie, byłbym tem skwapliwiej...

ANDZIA.

A widzieć pana musiałam koniecznie jeszcze przed odczytem, aby panu powiedzieć, abyś się miał na baczności.

JAN.

Pewno mi nic złego nie grozi, gdy mam taką protektorkę.

ANDZIA.

O, i owszem, coś bardzo strasznego! Chciałam panu powiedzieć, aby przy kasie, gdy przyjdą Florka i Rózia Pstrzyckie... pan wie — Pstrzyckie z Karmelickiej ulicy... żeby po prostu im powiedziano, że biletów już niema, wcale, wcale!

JAN.

Ależ panno Anno, to niemożliwe!

ANDZIA.

To musi, musi być! Ja panu wszystko opowiem... Ale niech-że pan usiądzie... bo pan taki duży...

JAN.

Owszem, siadajmy (*siadają po lewej stronie*).

ANDZIA.

Więc teraz panu wszystko opowiem. Przeszłego roku, jak pan miał odczyty... ach, jak pan ślicznie mówił przeszłego roku! co to tego roku będzie!

JAN.

Bardzo się cieszę, że mam tak śliczne zwolenniczki.

ANDZIA.

O, ale i nieprzyjaciołki także!

JAN.

Czy może być!

ANDZIA.

Czekaj pan. Przeszłego roku po panu mówił profesor Tartynowicz i wtedy już Pstrzyckie... a muszę panu powiedzieć, że ja się bardzo przy-

jaźniłam z Florką i Rózią, chociaż to one starsze ode mnie, bo Florka ma już dobrze ośmnaście lat, a Rózia powiada, że jest o rok starszą, ale to nie prawda, bo ona ma z pewnością 20! Nieprawda, że to śmiesznie, panie profesorze, taić się ze swoim wiekiem? Ja się wcale nie taję.

JAN.

I liczysz pani sobie?...

ANDZIA.

O, ja teraz już mam szesnaście skończonych.

JAN.

Doprawdy?

ANDZIA.

Doprawdy, panie. I mogłabym powiedzieć, że mam ośmnaście, ale nie chcę kłamać.

JAN (*na stronie*).

Roskoszne stworzenie (*głośno*). Więc pani się przyjaźniła z pannami Florką i Rózią?

ANDZIA.

Tak, bardzo, bardzo! — i ja myślałam, że się to nigdy nie skończy, a to się skończyło zaraz po odczycie profesora Tartynowicza.

JAN.

Jakbyż on się zmartwił, dowiedziawszy się, że był jabłkiem niezgody!

ANDZIA (*grożąc palcem*).

No, potrosze i pan był jabłkiem.

JAN (*n. s.*).

Oj, radbym! (*głośno*). Ja? czyż podobna?

ANDZIA (*seryo*).

Tak, tak, — ale ja to muszę porządnie opowiedzieć. Więc po odczycie profesora Tartynowicza, Florka powiada: moja Andziu, on zakasował twego!

JAN.

Twego?

ANDZIA.

Twego; to jest mego; — to pan!

JAN.

Jakto, ja? o panno Anno!...

ANDZIA.

Tak, u nas każda ma swego. Florka ma Tartynowicza, i już utrzymuje, że najpiękniejszy, najmądrzejszy i wszystko... a ja znowu...

JAN.

A pani co? O, mów pani!

ANDZIA.

Ja znowu przepadam za panem!

JAN (*n. s.*).

Ach, czemuż to naiwność mówi!

ANDZIA.

Bo też w istocie, cóż za porównanie z Tartynowiczem. Pan jak wejdzie, jak się ukłoni, to już zaraz widać, że to będzie bardzo interesujące, a jak pan już powie: Szanowni słuchacze!... i powiedzie okiem dokoła tak, no, to prawie usiedzieć nie można. A jak pan wodę pije! (*klaszcze w dłonie*). Nie, panie! — gdzieś się pan nauczył tak wodę pić?

JAN (*z uśmiechem*).

Nie wiem, widać tak już z natury.

ANDZIA.

A widzi pan! Ja zawsze Florce mówię: kto z natury nie ma szlachetnych ruchów, ten ich się nie nauczy. Jej Tartynowicz to tak całą szyję wyciągnie do szklanki, a rękę ledwo uniesie, jak gdyby szklanka kilka funtów ważyła, i ciągnie, ciągnie... a tu, (*pokazuje krtań*) widać jak przełyka; szkaradnie. A oczy tak nad szklanką patrzą, jakby zjeść chciały.

JAN (*śmiejąc się*).

Wybornie!.. a ja?

ANDZIA.

O, pan zupełnie inaczej. Pan naprzód rękę tak ładnie zokrągli, szyi wcale nie wyciąga, tylko

szklankę zgrabnie podniesie do góry, potem pan oczy spuści i pije — ot tak! — Pan bardzo ładnie pije!...

JAN.

Cieszy mię niewymownie, że pani we mnie odkryła nowy talent.

ANDZIA.

Więc jak Florka powiedziała, że Tartynowicz pana zakasował, to naturalnie musiałam się rozgniewać i powiedziałam jej, że się wcale nie zna, bo pan wiele uczeńszy i rozumniejszy od niego. Nieprawda, panie?

JAN.

Z pewnością. Widzę teraz jasno, że umieć się pani podobać, to najlepszy rozum!

ANDZIA.

Najlepszy dowód, że na odczycie pana Tartynowicza ja sama naliczyłam 9 osób ziewających, ale to okropnie; a ile za mną ziewało, to nie wiem, bom się nie chciała obracać.

JAN.

A na moim nie ziewano?

ANDZIA.

Wcale, wcale. No, wprawdzie pan radca Nurkiewicz zdrzemnął się i z krzesła spadł — ale to się nie liczy, bo to emeryt. Na Tartynowicza odczycie jeden chrapał głośno, a Florka mówiła, że on płacze z rozczulenia.

JAN.

Co za tendencyjna interpretacya!

ANDZIA.

A jaki on ma nos, panie! Taki gruby, długi... Gdyby jeszcze wąsy, toby może zakryły kawałek. Już to ja wogóle nie lubię prelegenta bez wąsów, to żadnego wrażenia nie robi. Florka to dobrze czuje, dlatego, gdy jej to powiedziałam, okrutnie się rozgniewała i Rózia także.

JAN.

I zrobiły na mnie sprzysiężenie?

ANDZIA *(seryo)*.

Ach panie, to okropność! Ja sama sobie wyrzucam, że je tak podrażniłam, bo teraz może być nieszczęście!

JAN.

Nieszczęście?

ANDZIA.

O tak, panie, wielkie nieszczęście! dlatego pana błagam na wszystkie świętości, aby one biletów nie dostały. Trzeba panu wiedzieć, że Florka bardzo dobrze rysuje, ale to bardzo dobrze, a zwłaszcza karykatury. To już osobny dar. Na pensyi, o, to już dawno, jak raz zrobiła pannę

Müller z lokami, to taka była śmieszna, a taka podobna, że aż musiała za to klęczeć.

JAN.

Panna Müller?

ANDZIA.

Nie, Florka, — panna Müller jej kazała klęczeć, bo to była wielka złośnica. Widzi pan, teraz Florka ze złości odgraża się *(płaczliwie)*, że zrobi z pana karykaturę na odczycie i będzie ją wszystkim pokazywać.

JAN.

E, to żarty!

ANDZIA.

Piękne mi żarty! Dzisiaj rano mi powiedziała, że już ma na pana za... zatemperowany ołówek!

JAN.

To strasznie! to niegodnie, to nikczemnie!

ANDZIA.

A widzi pan! Gdybym ja umiała rysować, tobym zrobiła Tartynowicza z takim nosem, — ale, tak, ja nie chcę, aby pana karykaturowano!

JAN *(n. s.)*.

Ależ to czarodziejka mała! *(głośno)*. Jakżeż pani wdzięcznym jestem za jej sympatyę...

ANDZIA.

Więc najlepiej nie wpuścić ani Florki, ani Rózi do sali.

JAN.

To jest niepodobieństwem, ale znajdziemy inny sposób.

ANDZIA.

Jaki?

JAN.

Napiszemy przy wejściu, że wszelka broń winna być złożona w garderobie, i poodbieramy wszystkie ołówki.

ANDZIA.

O, dobrze, dobrze! Boby to było okropnie, widzisz pan, całe miastoby o tem mówiło, a jabym się bardzo martwiła. A potem, jakby się pan chciał żenić, toby żadna... *(nagle)*. Ach! — ja się nawet pana nie pytałam, może pan już ma żonę?

JAN.

Nie, pani. Wyznaję, że aż do dnia dzisiejszego nie myślałem wcale o żonie, ale za to od dzisiaj o niczem innem myśleć nie będę.

ANDZIA.

A mój Boże!... byle się pan w Florce nie pokochał, bo ona taka śmieszka, onaby pana wystrychnęła na... przepraszam!

JAN.

Kończ pani, owszem — na dudka! Ale niema obawy, abym...

ANDZIA.

Niech pan się nie zarzeka. Wprawdzie mnie się nie zdaje, aby ona była tak bardzo ładna, ale *(sentymentalnie)* mężczyźni mają tak dziwne gusta!

JAN *(śmiejąc się)*.

A pani skąd wie, że mężczyźni mają dziwne gusta?

ANDZIA.

O, ja wiem z pewnością. Panna Adela...

JAN.

A, ta stara panna, którą dawniej u państwa widywałem?

ANDZIA.

Ta sama. Ona zawsze powiada, że mężczyźni mają dziwne gusta, a ona wie, bo, jak sama mówi, mężczyzn zna na wylot.

JAN.

I nie może im darować, że się na niej nie poznali! Ale wróćmy do naszego przedmiotu, to mnie bardzo zajmuje. Gdybym więc tak dzisiaj, kochana panno Anno, pomyślał o żonie...

ANDZIA.

Wie pan, że ja się dziwię, że pan o tem dotąd nie pomyślał! W pana wieku, to wszyscy mają żony.

JAN.

O nie wszyscy tak szczęśliwi, panno Anno! Każdemu mężczyźnie zdarza się raz tylko sposobność napotkania na drodze życia aniołka ze srebrnemi skrzydełkami. Ci więc mężczyźni, których pani widzisz nieżonatymi, albo nie mieli jeszcze tej niebiańskiej wizyi — albo niebaczni przeszli obojętnie obok niej, nie wiedząc, że już nie wróci.

ANDZIA.

Ach, jakie to ładne! Wie pan, że ja nic nie wiedziałam o tym aniołku.

JAN.

Bo aniołki najczęściej nie mają samowiedzy.

ANDZIA.

Samowiedzy?

JAN.

Tak, panno Anno. Aniołek gdy ma samowiedzę, może być równie i szatanem. Naszą to jest rzeczą, nas mężczyzn, poznać aniołka i uchwycić w locie.

ANDZIA.

A czy to można?

JAN.

Nie zawsze, niestety, ale trzeba próbować. Panno Anno, cóżbyś pani powiedziała, gdybym i ja spróbował uchwycić aniołka za skrzydełka... *(biorąc ją za rękę)* za rączkę, chciałem powiedzieć, i powiedział mu: nie wracaj w górne sfery; zostań ze mną, bądź moim aniołem stróżem!

ANDZIA.

Panie profesorze, tak pan dziwnie mówi — ja nie wiem. Ja się pana teraz boję!

JAN.

Znalazłem mego aniołka i nie puszczę, aż mi powie, czy chce życie podzielić ze mną.

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ I ONUFRY.

ONUFRY *(wchodzi zrozpaczony)*.

O, bodaj dziesięć tysięcy rądli spadło na głowę redaktora Kuryera, co mi tego kucharza wymyślił...

ANDZIA.

Co to papie, — co się stało?

ONUFRY.

Ależ pijany, pijany jak smok!

ANDZIA.

Kucharz?

ONUFRY.

A któżby. Urznięty jak bela: a tu głód ściska, ściska... O stara Marysiu, srogo mię Bóg za ciebie ukarał!

ANDZIA.

Ależ papo, to nic nie szkodzi, ja już o wszystkiem pomyślałam, — a pan profesor...

ONUFRY.

Hę, profesor? *(spostrzega Jana)*. A pan do licha czegóż tu jeszcze chcesz? naigrawać mojej boleści. .

ANDZIA.

Papo, ależ...

ONUFRY.

Milcz wasanna *(do Jana)*. Chciałbym wiedzieć, czego tu pan chcesz, co pan za jeden?

ANDZIA.

Jakto, co za jeden?

JAN.

Jestem profesor, doktór...

ONUFRY.

Ależ słyszałem już... i...

ANDZIA.

Pan Jan Murecki...

ONUFRY.

Co? Murecki? Jasia syn?

JAN.

Tak jest, panie dobrodzieju, i przychodzę...

ONUFRY.

A czemuż mi tego nie gadasz! Jasia syn, chodź chłopcze, niech cię uściskam *(ściska go)*.

ANDZIA.

To papa nie poznał pana Jana?

ONUFRY.

Tfu do licha, gdzież miałem poznać! Wyrósł, zmężniał. No Jasiu, nie puszczę cię, musisz z nami zjeść obiad.

JAN.

Z największą przyjemnością...

ONUFRY.

Ale nie! — zapomniałem *(z rozpaczą)*. Toż my nie mamy co jeść! Idź Jasiu, uciekaj, tutaj tyfus głodowy.

ANDZIA.

Papo, papeczko! Ja wszystko przygotowałam na wszelki wypadek i obiad prawie gotów.

ONUFRY *(z westchnieniem)*.

Tak, ale co za obiad!

JAN.

Ależ dobry będzie, wyśmienity. Z takich rączek...

ONUFRY.

Ta, ta, ta, rączek. Już ja wolałbym łapy starej Marysi. Gdybym ją tu miał, całowałbym ją po tych łapach!

ANDZIA.

No, zobaczymy, zobaczymy! Ja biegnę do kuchni *(odwraca się od drzwi)*. Ale pan profesor musi zostać.

JAN.

Ależ naturalnie. Jeszcze się w życiu tak na obiad nie cieszyłem, jak dziś.

ANDZIA (*wybiega*).

Złoty pan profesor.

SCENA DZIESIĄTA.

JAN. ONUFRY.

ONUFRY.

No, Jasiu, to poczciwie, że zostajesz (*ściska go sentencyonalnie*). W nieszczęściu poznaje się prawdziwych przyjaciół! No, ale mów mi o sobie, co porabiałeś, jak ci się powodzi?

JAN.

Bóg zapłać, kochany panie Onufry. Wróciłem niedawno z całorocznej podróży, i...

ONUFRY.

I teraz myślisz między nami pozostać.

JAN.

Nieinaczej, otrzymałem katedrę przy tutejszym uniwersytecie.

ONUFRY.

To pięknie, w tak młodym wieku. Ja wprawdzie nie znam się na waszych uczonościach, ale to bardzo pięknie! Ale kiedy tu zamieszkasz, to spodziewam się, że nie zapomnisz o moim dworku. (*Jan robi poruszenie dziękczynne*). Nie bój

się, pogodzę się ze starą Marysią i niech dyabli biorą zagranicznych kucharzy i tego kusiciela Kuryera!

JAN.

Zaproszenie pana dobrodzieja z tem większą przyjmuję skwapliwością, że...

ONUFRY.

Że i ty lubisz dobrze zjeść, jak ojciec...

JAN.

To jest, właściwie...

ONUFRY.

No, przyznaj się, przyznaj. Dobra krew, widzisz, dobra krew!

JAN.

Mam wszakże i inny powód, który... Panie Onufry, jestem zawsze szczery, więc wolę ci z góry powiedzieć, że zamyślam bywać tu w celu zaskarbienia sobie względów panny Anny.

ONUFRY (*porywa się*).

Co, co, co? — względów Andzi?

JAN (*onieśmielony*).

Naturalnie, jeżeli pan dobrodziej zezwolić raczy.

ONUFRY.

Ja zezwolić? Ależ mój dobroczyńco, zbawco, bierz ją sobie, zaraz, natychmiast!

JAN.

Panie dobrodzieju...

ONUFRY.

Patrz, już prawie trawić nie mogłem na tę myśl, że na przyszły rok trzeba mi to będzie włóczyć po balach, wieczorkach, rautach. A mój zbawco!

JAN.

Kiedy tak, to możeby...

ONUFRY.

Widzisz, po tych balach to kolacye bywają późno — ja tego nie lubię — z pretensyą najczęściej, ja tego też nie lubię—a prawie zawsze zimne, przestałe — a co tego, to już bardzo nie lubię! Ale kiedy to tobie wszystko jedno, to bierz ją, i bądź pewny, że ci tego do grobu nie zapomnę! Poczciwy chłopak.

JAN.

Więc możeby zaraz pan dobrodziej zechciał przedstawić pannie Annie moją prośbę.

ONUFRY.

Ależ naturalnie, zawołam ją zaraz, niech ci

sama podziękuje *(idąc ku drzwiom)*. Andziu, Andziu.

SCENA JEDENASTA.

CIŻ, ANDZIA.

ANDZIA *(wbiegając)*.

Obiad na stole!

ONUFRY *(zwracając się do Jana)*.

Brawo! chodźmy jeść.

JAN.

Ja sądziłem, że pan raczy pannie Annie powiedzieć...

ONUFRY.

Po obiedzie, po obiedzie. Widzisz, nie mógłbym tego zrobić bez rozczulenia, a rozczulenie przed obiadem to tak odbiera apetyt, jakbyś się czekolady napił!

JAN.

Panno Anno, jedno słówko.

ANDZIA.

Ależ zupa ostygnie.

JAN.

To nic nie szkodzi. Mnie chodzi o całą przyszłość.

ANDZIA.

I mnie chodzi o całą przyszłość. Pomyśl pan, to pierwszy obiad, który sama robię w życiu.

ONUFRY.

No, do stołu, do stołu!

ANDZIA.

Papeczko, muszę ci powiedzieć, bo już nie wytrzymam. Zrobiłam pasztet, taki jak tatko lubi i wybornie się udał.

ONUFRY.

Udał się. — Hm, hm — może to co będzie z tego pasztetu, nie, z tej dziewczyny.

ANDZIA.

A więc proszę z sobą na moje arcydzieło.

JAN (*do Onufrego*).

Ależ przy obiedzie pan pozwoli...

ONUFRY.

Broń Boże! (*wraca z nim na przód sceny*). Zresztą powiem ci, kochany Jasiu; jeśli ten pasztet będzie rzeczywiście dobry, to — *(sentymentalnie)*

to ja nie wiem, czy będę miał serce rozstać się z moją córką!

JAN.

Ależ na Boga...

ONUFRY.

Zobaczymy, zobaczymy! (*bierze Jana pod rękę i prowadzi ku wyjściu, przy którym stoi Andzia).*

ANDZIA.

Nudziarz z pana profesora! Zupa ostygnie.

Zasłona spada.

BIBLJOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY

1. **Babunia**, komedja w 2 aktach przez *M. Gawalewicza.*
2. **Monologi**, przez *F. Reinsteina.*
3. **Teodolinda**, krotochwila w 1 akcie przez *J. B. Szweitzera.*
4. **Majster i czeladnik**, komedja w 2 aktach przez *Józefa Korzeniowskiego.*
5. **Folwark Primerose**, komedja w 1 akcie przez *Cormon* i *Dutertre.*
6. **Dzienniczek Justysi**, komedja w 1 akcie przez *J. Kościelskiego.*
7. **„Wiecznie"** komedja w 1 akcie przez *K. de Courcy.*
8. **Prelegent**, fraszka w 1 akcie, przez *J. Kościelskiego.*
9. **Pacjent № 1-szy**, humoreska w 1 akcie, przez *A. Starkmana.*
10. **Zaproszenie do walca**, komedja w 1 akcie, przez *Aleks. Dumas'a.*
11. **Na balkonie**, fraszka sceniczna przez *A. G. Cagna.*
12. **Chateau Yquem**, krotochwila w 1 akcie przez *W. Busnach'a.*
13. **Model na bohaterkę**, kom. w 1 akcie przez *H. Holpein'a* przekład *W. Bogusławskiego.*
14. **Partja pikiety**, kom. w 1 akcie przez *Bayard'a* i *Cornu'a.*
15. **Marynarz**, dramat w 1 akcie przez *A. Theuriet'a.*
16. **Pierwsza chmura**, bluetka w 1 akcie przez *A. Stockiego.*
17. **Nieboszczyk swatem**, komedja w 1 akcie przez *Alfa.*
18. **Pożycz mi twej żony**, kom. w 2 akt. przez *M. Desvallières.*
19. **Najlepsza broń**, komedja w 1 akcie przez *F. Strzeckiego.*
20. **Na raucie**, komedja w 1 akcie przez *F. Strzeckiego.*
21. **W pułapce**, komedja w 1 akcie przez *Alfa.*

Cena każdego zeszytu kop. 25.